

Dzieci wychowane przez państwo. To się nie mogło udać

data aktualizacji: 2019.11.14 autor: Anna Wójcik-Brzezińska



Czy historia ta jest tragicznym przykładem, co system robi z rodziną, gdy jego tryby ruszą do pracy? Na szczęście dla „systemu” małżonkowie B. nie są i nigdy nie byli przykładną rodziną, a z lat próby, którym zostali poddani, nie wyszli cało. Prokuratura odpowiada - czekamy na uzasadnienie wyroku, wówczas podejmiemy decyzję co do apelacji.

B. wciąż są razem - ona tak twierdzi. Jego nie ma, jest alkohol, w którym topi smutki. Nigdy nie wylewał za kołnierz, za to ona za ten kołnierz kurczowo trzymała. Mówi: - Stąd wzięły się wszystkie problemy.

Zajmują dwupokojowe mieszkanie komunalne w centrum Skierniewic. Akurat, by szóstka dzieci miała swój kąt. Tyle, że żadne z tej szóstki nigdy tu nie mieszkało. W notatce z wywiadu środowiskowego pracownik Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie zanotował:

„Lokal jest czysty i zadbane, a opłaty regulowane są na bieżąco. Z ostatniej pomocy MOPR skorzystali w czerwcu 2017 roku, a środki te przeznaczone były na pokrycie kosztów kolonii letnich dla syna (...). Obecnie nie korzystają ze świadczeń rodzinnych i funduszu

alimentacyjnego”.

Rodzina, gdy ją poznałam mieszkała w kamienicy przy ul. Waryńskiego. 20 metrów kwadratowych, a w środku dwójka dorosłych ludzi i dzieci – trzech chłopców i drugie tyle dziewczynek. To był 2009 rok.

Opiekunka społeczna powie później: – W życiu nie widziałam tak czystego, zadbanego mieszkania. Przy tej liczbie ludzi to niemożliwe.

Dzieci trafiły do ośrodka w październiku 2012 roku. Monika poszła szukać męża, wiedziała, że siedzi u rodziny, pije. W mieszkaniu teściowej dostała szau. Niewiele myśląc wzięła do ręki nóż kuchenny... Czy chciała mu zrobić krzywdę? Opowiada – że nie wiedziała, co robi. Nie pamięta.

Zraniła go w okolice szyi. Przyjechało pogotowie, potem policja.

– Męża zabrali do szpitala. Rana była płytka. W tym czasie do naszego mieszkania przyjechała policja, zabrała dzieci. Do dziś nie wróciły do domu – opowiada.

W lutym 2013 roku małżeństwo B. podpisało z placówką opiekuńczo-wychowawczą kontrakt. Po wypełnieniu zobowiązań, dzieci miały wrócić do domu. Punkt pierwszy brzmiał – „Stały kontakt z dziećmi i pracownikami”, było też o angażowaniu się w sprawy dzieci.

W kwietniu 2013 roku sąd, na wniosek prokuratury, warunkowo umorzył postępowanie przeciwko Monice. Mąż doszedł do siebie, nie miał pretensji. Danielowi zwrócono nóż, ścierka kuchenna, którą tamowali krew z rany, jako „utrwalony ślad czynu” został w aktach sprawy.

– Przenieśliśmy się do nowego, większego mieszkania. Zaczęliśmy planować, który pokój zajmą chłopcy, który dziewczynki – opowiada kobieta.

Monika nie ma łatwego charakteru. Na podpisie pod kontraktem się skończyło. Nie potrafiła zrozumieć, jak inne kobiety mogą wiedzieć lepiej, jak wychowywać jej dzieci. Jej wizyty w ośrodku zwykle kończyły się awanturami. Później powie – że zbyt mocno „założyła placówce za skórę, by ta nie chciała się zemścić”. Wszystko, co zdarzyło się później miało być „zemstą”.

Wychowawcy tłumaczyli – musimy wierzyć dzieciom i własnemu instynktowi.

Dzieci nie wróciły do domu ani tej wiosny, ani następnej. W 2013 roku dyrektor placówki opiekuńczo-wychowawczej, w której dzieci zostały umieszczone, skierowała do prokuratury pismo dotyczące podejrzenia popełnienia przestępstwa molestowania seksualnego dzieci przez rodziców.

W notatkach służbowych jedna z wychowawczyń miała stwierdzić, że siostry B. „są zainteresowane nadmiernie nagością”. Inny pedagog sygnalizował nadmierne zainteresowanie kilkuletniej (...) chłopcami. Wtedy też ktoś z zaprzyjaźnionych z B. rodzin opowiedział wychowawcom, o – jego zdaniem – nadmiernym zainteresowaniem Daniela B. najstarszą z dziewczynek (niespełna 8 lat). Świadek opowiadał, że B. na urodziny (...) kupił jej błyszczyk do ust. Wychowawczynie dziewczynki zeznawała później, że w zachowaniu dziewczynki nie zauważyła nic niepokojącego.

Problemy były z młodszymi dziewczynkami. Czterolatka została „nakryta” przez wychowawcę na zabawach z innym chłopcem „w dorosłych”. Dzieci zostały skierowane na badania do ośrodka w Skierniewicach. Wtedy to psycholog miał stwierdzić, że najmłodsze opisywały „zdarzenia mające cechy wykorzystywania seksualnego” oraz, że pozostałe dzieci mogły być „narażane przez rodziców na kontakt z treściami o charakterze seksualnym”.

Z zeznań najmłodszych wynikało, że mogły być świadkami współżycia rodziców. Podobnie o rok starsza mogła być świadkiem ich zbliżeń intymnych. Chłopcy w rozmowie z psychologiem zaprzeczyli jakoby kiedykolwiek „tata robił coś złego dziewczynkom”. Mówili natomiast o przemocy – ojciec bił, krzyczał i pił. Matka stawiała w ich obronie.

W grudniu 2013 roku prokurator wniósł o zakaz zbliżania i kontaktowania się rodziców z dziećmi.

Zaglądam do tekstu, który opublikowaliśmy wtedy w „Głosie”. Pracownicy MOPR wyrażali powątpiewanie, czy w tej rodzinie doszło do aktów pedofilii. A że dzieci widziały zbliżenia intymne rodziców? Jeśli mieszkanie stanowi pokój z kuchnią w jednym? Niepokoiły jednak badania RODK i słowa najmłodszych dziewczynek.

Gdy trafiły do placówki, najmłodsze nie miało dwóch lat. Najpierw dzieci zaczęły się samookaleczać. Pojęcie demoralizacji poznali, gdy jedna z dziewczynek w łazience dotykała inne dziecko w sposób, w jaki dotykają się dorośli. W opiniach o najmłodszych czytamy, że szkołach, w których się uczą są dziećmi osiągającymi, jak na swoje możliwości intelektualne, bardzo dobre wyniki w nauce, nie sprawiają problemów wychowawczych.

Monika ma na to swoje wytłumaczenie: – Faszering je psychotropami, zamykają w izolatkach, chcą sprzedać za granicę, w najlepszym wypadku przejąć wszystkie pieniądze z państwa na ich utrzymanie. Postanowiła blokować wszelkie działania ośrodka.

Była też sprawa wychowawcy, któremu puściły nerwy i dotkliwie uderzył jedno z dzieci. Usłyszał wyrok w zawieszeniu, bo miał dobrą opinię i lata pracy. Był w końcu wieczór, gdy najstarszy z rodzeństwa zamknął drzwi przed twarzą wychowawcy. Nie wiedział, czy to te drzwi, czy słowa, które wylały się pod adresem wychowawcy zaprowadziły go do poprawczaka. Ośrodek miał wychowywać, ale w bramie Bombla dorośli nieraz opowiadali o tym miejscu. Mówili, że łamie kręgosłupy, że jest przemoc. On ma doskonałą opinię w szkole. Radzi sobie.

Irena Bodych, dyrektor Placówki Opiekuńczo-Wychowawczej „DOM” zaprzecza – nie jest prawdą, że faszeringujemy dzieci psychotropami. To lekarz decyduje o podawaniu dzieciom leków, w naszej placówce nie ma izolatek, nie prowadzimy handlu dziećmi a o adopcji decyduje Sąd Rodzinny i Regionalny Ośrodek Adopcyjny w Łodzi. Środki na utrzymanie wychowanków pochodzą z budżetu Miasta Skierniewice i są wydawane na prawidłowe funkcjonowanie Placówki.

Są dziećmi państwa, bo ojciec przez te wszystkie lata nie mógł się do nich zbliżyć, matka walczyła z opinią żony pedofila – kobiety, która chroni zwyrodnialca.

Ona mówi, że coś w niej pękło, że był czas, gdy nie chciała iść do pracy, wyjść z domu. W internecie przeczytała o depresji. Wszystko pasowało. Nie mogła tylko znaleźć jednego – dlaczego w tej „depresji” kompletnie straciła uczucia macierzyńskie. W ogóle zrobiła się jakaś „dziwna”, skupiona tylko na walce „z systemem”. Najstarsza córka ma do niej pretensje. Mówi, że traktuje ją jak koleżankę, a ona chciałaby mieć matkę.

Monika dwa razy została skazana prawomocnym wyrokiem za pomawianie dyrektor i wychowawców placówki, w której żyją jej dzieci.

– Mówiłam, że ten dom dziecka nie wychowuje dzieci, że prowadzą chów klatkowy. Nie potrafiłam być spokojna, sąd brał mnie za wariatkę i dostawałam wyrok – 40 czy 60 godzin do odrobienia. No, to myślałam autobusy. Jak miałam dość, to nie myślałam, to znów dostawałam kary (za niemycie) – nic mnie to nie zmieniło. Tylko jakaś twarda się stałam. Mąż nie zrobił krzywdy moim córkom, bo nigdy go z

nimi sama nie zostawiłam. Zawsze pił, więc jak miałam go z nimi zostawić? Sama ginekolog w procesie mówiła, że dzieci nigdy nie współżyły.

Sprawę małżeństwa B. dwa razy rozpatrywał Sąd Rejonowy w Skierniewicach. Raz, gdy uznał małżonków winnych zarzucanych czynów, odwołali się. Sąd okręgowy wrócił sprawę do ponownego rozpatrzenia. W sierpniu orzekł, że B. są winni prezentowania dzieciom treści pornograficznych, ale uwolnił Daniela B. od zarzutu molestowania dziewczynek.

Prokuratura nie wyklucza apelacji, podkreśla, że wobec Daniela B. nie udało się utrzymać zarzutu molestowania, bowiem osoby najbliższe odmówiły składania zeznań.

Monika czuje, że wygrała. Nie pyta już o dzieci.

- Zaraz zaczną wracać, po kolei. Zaraz pierwsze będzie pełnoletnie - mówi. - Boję się tylko, że zmarnowali mi je. Dzieci nie rozumieją, co robi machina państwa jeśli tylko puścisz ją w ruch.

B. w maju 2019 roku zostali pozbawieni praw rodzicielskich. Wniosek do sądu złożyła placówka opiekuńczo-wychowawcza. Sąd podzielił argumentację placówki - „Dzieci kochają matkę i pragną kontaktu z nią”. Zaniechanie przez rodziców ich obowiązków względem dzieci był rażący - zapominali przyjść na spotkania, nie dzwonili, nie odwiedzali w szpitalu... „Chłód emocjonalny” matki wobec dzieci - o tym mówią wychowawcy. Żadnych matczynych uczuć” - oceniają.

Nie sądzę, by B. było jeszcze stać na batalię o odzyskanie dzieciaków. Monika B. mówi - niczego w życiu więcej nie pragnęłam, jak być matką, dziś mam tylko nadzieję, że będę lepszą babką, że dobre uczucia gdzieś jeszcze we mnie są.

Źródło: <https://eglos.pl/aktualnosci/item/33848-dzieci-wychowane-przez-panstwo-to-sie-nie-moglo-udac>